

DYGRESJE  
TEATRALNE

1.

Gdy po premierze „Wenecjanki” pełną parą działało już „podziemie” opolskiego teatru (w języku konwencjonalnym nazywane zapleczem socjalno-bytowym), gdy ze stołów zaczęły zniknąć kanapki, sałatki i wędlina a w naczyniach obniżyły się poziom płynów, nasza mnie przemożna chęć zjedzenia kawałka chleba. Bez omasty. Chęć na kromkę chleba. Nie na kieliszek. Wtedy jeden z moich sąsiadów (towarzysz biesiady — mówiąc „łamaną staropolszczyzną”), dawny miłośnik Grotowskiego, odezwał się z przekąsem (nic w tym czasie nie przekąszając): gdy teatr jest bogaty, widz tęskni do ubogości, do chleba.

Nie podjąłem dialogu, bo zadzwieczało szkło, uciechły rozmowy, podniósł się Giovanni Pampiglione — inscenizator „Wenecjanki”. Wstał i w „pierwszych słowach swego toastu” podziękował „maszynistom”, pracownikom technicznym. Zrazu wziętem ów toast za miłe, kurtuazyjne dopełnienie pospektaklowych braw: oto reżyser dziękuje tym, których trud pozostaje w cieniu pracy aktorów. Ale gdy przypomniałem sobie toasty Hanaoki (po premierze „Zabobonnik”) i Golińskiego (po premierze „Iwony, księżniczki Burgunda”, dosłuchałem się w słowach inscenizatora „Wenecjanki” czegoś więcej, czegoś istotniejszego. Hanaoka mówił o duchu zespołowości, który zawiadnął atmosferą prób podczas pracy nad „Zabobonnikami”, Goliński wyraził się milcząco, wreszcie skorzystał z nic — i wszystko — mówiącego zdania-toastu, wypowiedział się samą konwencją, samą Formą; wyglądało to tak, jakby mówił Gombrowiczem. A Pampiglione dziękuje maszynistom.

Wszak te toasty najkrócej (i jakże trafnie) charakteryzują opolskie realizacje „Zabobonnik”, „Iwony” i „Wenecjanki” — pomyślałem w nagłym olśnieniu. Ale olśnienie to nie było wcale takie nagłe, nie było w ogóle olśnieniem, raczej miało w sobie coś ze „spóźnionego refleksu”: dopiero teraz zrozumiałem, iż uważa, wypowiedziana przez mojego „towarzysza biesiady”, odnosiła się nie do tego, co na stole, lecz do tego, co na scenie (bowiem stoi zastawiony — składkowym zresztą — „poczęstunkiem” wcale nie wymagał takich komentarzy; poza tym popremierowy „poczęstunek” — składkowy właśnie — to wcale szacowna, już wielowiekowa tradycja profesji aktorskiej; jakże więc mogłoby jej zabraknąć w teatrze noszącym imię ojca polskiej literatury?).

2.

Giovanni Pampiglione — w niektórych kregach zwany z polską Jasiem Motylkiem — wie dobrze, co to „żywiol teatralności”. Tak przynajmniej sądzi Kelera, co można wyczytać w tomie szkiców i felietonów teatralnych „Takie były zabawy, spory w one lata”. Nie mam powodów, aby mu nie wierzyć, bo obydwie widziane przeze mnie inscenizacje zrealizowane we Wrocławiu — „Błękitny potwór” Gozziego i „Kaligula” Camusa, zwłaszcza „Kaligula” — były interesujące; pierwsza — barwna, druga — ascetyczna. Pampiglione od dawna współpracuje z Janem Polewką, scenografem. Prace scenograficzne Polewki mają czasami charakter „przyrządów do grania”. Tak jest i w inscenizacji „Wenecjanki”: owym „przyrządem do grania” są dwa baseny, bardzo zmyślnie zainstalowane na Małej Scenie Teatru im. Jana Kochanowskiego. Bowiem „dwaj panowie P.” postanowili sztukę Anonima Weneckiego wystawić z „dowcipem” (bo to — zdaniem niektórych — komedia). I z wodą (bo rzecz się dzieje w Wenecji). Woda, aczkolwiek z trudem,

dała się wystawić na widok publiczny, natomiast dowcip znikł. Czyżby był „substancją” rozpuszczalną w wodzie? Czyżby uległ rozwodnieniu? A zaczyna się wszystko bardzo ślicznie: najpierw podniecające wyczekiwanie w foyer, potem, gdy już znajdziemy się na widowni, widzimy lekko falującą wodę, refleksy odbitego światła drżące (miłośnic?) na ścianach, w tym samym czasie w wodzie drżą (z niecierpliwości?) dwie syreny z nagimi pierściami udatnie złowionymi w sieć (taki stroik wymyślił scenograf!), zaś nad basenami jakby pochylały się dwie fontanny, jedna w kształcie konika morskiego (w którymś z wydań „Sindbada Żeglarza” tak rysowano morskiego diabła), druga — pękatej ryby; stylowo brzmi flet w ustach Carli Cassoli; słowem — sam wdzięk, sam dowcip, z ciekawieniem. A oto już Prologus „dell'artowstro” (choć nie całkiem) zapowiada nam historię niezwykłą o paniach swawolnych i młodzieńcu, będącym przypadkiem w Wenecji. I właśnie w tym miejscu spektakl mógłby się

Marek Jodłowski

SCENY MIŁOSNE

z wodotryskiem

skończyć, bo teatr, co miał do pokazania, to już pokazał, czym mógł olśnić, tym już olśnił. Aha, została jeszcze literatura, owa „komedia wenecka” z początków XVI wieku, perła renesansowej literatury włoskiej. Mogłby ją opowiedzieć Jerzy Adamski, tłumacz „La Venexiana”, gawędziarzem jest przecież przeuroczym. Wzięły w swoje ręce ową perłę, a ona mogłaby opalizować znaczeniami, jawić się to jako komedia ludowa, to jako uczona, to jako „kawał życia”, stanowiący „prefigurację naturalizmu”, to jako poważny traktat, dramatyczne studium namiętności.

Ale, niestety, spektakl trwa dalej. I wkrótce robi się „porno”. Nie dlatego, że piękny Julius rozdziać się musi (poetyka „kawału życia” wymaga rozdzielania przy wchodzeniu do wody — i do łóżka). Rozbieranki dzięki pracy elektryków (pstryk! — i ciemno, pstryk! — i światło) oraz istnieniu „figowego listka” nie odbierają szans wyobraźni. Robi się „porno i dusno”, bo podgrzana, „scenograficzna” woda zaczyna parować. Robi się nudno, bo powtarzają się układy, sytuacje, gesty. Piękny i młody Julio to jest w łóżku, to w pobliżu łóżka. Dostaje drogocenne podarki od roznamiętnionej Angeli, ale chuć Valerii jest jeszcze nie zaspokojona. Można by nieźle żyć w tej Wenecji — myśli Julio. Ale ci, którzy już z niejednego łóżka chleb jedli (parafraza ta jest o tyle usprawiedliwiona, że i w łóżku czasami bywa gorąco jak w piecu), wiedzą, jak znużny i



„Wenecjanka” w Teatrze im. Kochanowskiego (Mała Scena). Reżyseria: Giovanni Pampiglione, scenografia: Jan Polewka, muzyka: Carla Cassola. Na zdjęciu: Bożena Rogalska (Orcia) i Dariusz Skowroński (Julius).

Fot.: J. Berdak

nej moralistyki, akcentującej nieco życia doczesnego? Można by tedy, parafrazując znany wiersz dekadentki (wszak dekadenci również akcentowali nieco życia) zakrzyknąć: chociaż życie nasze nic nie warte, evviva dell'arte! Ale żadnego „dell'artizmu” w inscenizowaniu wielu scen „Wenecjanki” nie uświadczysz.

3.

Mówi się, iż „La Venexiana” to perła renesansowej dramaturgii włoskiej. Może nawet europejskiej. Zapewnie tak jest. Zastanawia chociażby „międzygatunkowość” tego utworu. Ale to, co stanowi o niezwykłości tekstu, może być trudne do pokazania w teatrze. Owa „międzygatunkowość” właśnie zgubiła inscenizatora opolskiej „Wenecjanki”. Chciał wyinscenizować wszystko: i komedię dell'arte, i naturalistyczny dramat mieszczański, i niemal moralitet. Zabrakło koncepcji scalającej, całość rozspuje się na luźne sceny. Na sceny miłosne z wodotryskiem. Woda zatem ciurka, i co ciurknie, to wydaje mi się, iż ciurka po to, by odwrócić uwagę widza od wykonawców (stwierdzenie to w najmniejszym stopniu odnosi się do Ireny Dudzińskiej i Dariusza Skowrońskiego, im bowiem najczęściej udawało się zainteresować spectatorów i tekstem, i kreowanymi przez siebie postaciami).

Post scriptum:

1. Pampiglione twórczo odrzuca — analizowany przez kierownictwo literackie teatru na łamach „Trybuny Odrzańskiej” — dylemat: czy chodzić do teatru w garniturze, czy w swetrze? Odpowiedź inscenizatora „Wenecjanki” brzmi: do teatru chodzimy w slipach! (Żeby-ż jeszcze na widowni zainstalować kwarcówki!).

2. Z powyższego — naprawdę! — wynika, że „Wenecjanke”-opolanke trzeba zobaczyć. Polecam ją zwłaszcza tym, którzy — mieszkając na dziesiątym piętrze — rzadko mają okazję widzieć wannę pełną wody.